

FILM NA PODSTAWIE POWIEŚCI W KINACH

Pierre Lemaitre



13 nominacji, 5 statuetek

Grand Prix
Nagrody Goncourtów

*Do zobaczenia
w zaswiatach*



1

Ci, którzy myśleli, że wojna niedługo się skończy, dawno już polegli. Na wojnie właśnie. Dlatego też w październiku Albert sceptycznie odnosił się do pogłosek o zawieszeniu broni. Podchodził do nich z podobną nieufnością jak do początkowej propagandy, według której szwabskie kule były tak niemrawe, że rozpryskiwały się na mundurach jak przejrzałe gruszki, wzbudzając gromki śmiech oddziałów francuskich. W ciągu czterech lat widział mnóstwo chłopaków, którzy umarli ze śmiechu trafieni niemiecką kulą.

Zdawał sobie sprawę, że jego niewiara w bliskość rozejmu przypomina myślenie magiczne: im bardziej się liczy na pokój, tym mniej wiary daje się zapowiadającym go pogłoskom — żeby nie zapeszyć. Tyle że teraz dzień za dniem wiadomości te napływały narastającymi falami i wszyscy wkoło zaczęli powtarzać, że wojna naprawdę niedługo się już skończy. Aż trudno uwierzyć, ale można było nawet trafić na artykuły prasowe, w których postulowano demobilizację żołnierzy najstarszych służbą, tych, którzy tkwili na froncie od lat. Kiedy nastały wreszcie realne widoki na rozejm, w największych nawet pesymistach ożyła nadzieja, że uda

im się przeżyć. W rezultacie temat ofensywy nie wzbudzał już w nikim wielkiego zapału. Krążyły słuchy, że 163. Dywizja Piechoty podejmie próbę przedarcia się na drugi brzeg Mozy. Co poniektórzy mówili jeszcze, żeby dać popalić wrogowi, ale generalnie, jeśli patrzeć na to z dołu, z perspektywy Alberta i jego towarzyszy, to od czasu zwycięstwa sprzymierzonych we Flandrii, wyzwolenia Lille, odwrotu Austriaków i kapitulacji Turków czuli w sobie znacznie mniej zapału niż oficerowie. Powodzenie ofensywy włoskiej, Anglicy w Tournai, Amerykanie w Châtillon... widać było, że sprawy zmierzają ku lepszemu. Większość żołnierzy w jednostce zaczęła grać na zwłokę i zarysowała się bardzo wyraźna linia podziału między tych, którzy jak Albert chętnie doczekaliby końca wojny, siedząc spokojnie ze swoim ekwipunkiem, paląc papierosy i pisząc listy, oraz tych, którzy rwali się, by korzystając z ostatnich dni, porachować się jeszcze ze szwabami.

Ta linia demarkacyjna pokrywała się co do joty z inną, tą, która oddzielała oficerów od ogółu ludzi. Nic nowego, mówił sobie Albert. Dowódcy chcą zyskać jak najwięcej terenu, żeby zasiąść do negocjacji z pozycji siły. Jeszcze trochę, a gotowi by ci wmawiać, że zdobycie dodatkowych trzydziestu metrów może znacząco odmienić wynik konfliktu i że dzisiaj jeszcze bardziej warto polec niż wczoraj.

Do tej właśnie kategorii należał porucznik d'Aulnay-Pradelle. Mówiąc o nim, wszyscy opuszczali imię, partykułę, „Aulnay” i łącznik i mówili po prostu Pradelle; wiadomo było, że to go doprowadza do szału. Niczego nie ryzykowali, bo Pradelle za punkt honoru stawiał sobie nigdy tego nie okazywać. Odruch klasowy. Albert go nie lubił. Może dlatego, że Pradelle był przystojny. Wysoki, szczupły, elegancki, o falistych ciemnych włosach, prostym nosie i pięknie zarysowanych wąskich ustach. I o ciemnoniebieskich oczach.

Zdaniem Alberta prawdziwie wredna gęba. I do tego zawsze z miną, jakby był ciągle wkurzony. Facet z rodzaju tych niecierpliwych, nie znał prędkości docelowej, potrafił tylko przyspieszać lub hamować, nic pomiędzy. Poruszał się z wyciągniętym ramieniem, jakby chciał odsuwać meble, z impetem do ciebie podchodził i gwałtownie siadał. To było jego zwykłe tempo. Ten kontrast był nawet ciekawy: przy swoim arystokratycznym wyglądzie sprawiał wrażenie niebywale cywilizowanego, a zarazem do gruntu brutalnego. Trochę na obraz i podobieństwo tej wojny. I może dlatego tak dobrze się na niej odnajdywał. A do tego jeszcze ta barczysta sylwetka — jak nic wiosła, no i tenis.

Albert nie lubił też jego owłosienia. Tych kępek czarnych włosków, wszędzie, nawet na dłoniach, na szyi, rosnących aż po grdykę. W czasach pokoju musiał się z pewnością kilka razy dziennie golić, żeby nie wyglądać na typa spod ciemnej gwiazdy. Bez wątplenia były kobiety, na których robiło wrażenie to owłosienie nadające mu wygląd męski, wręcz zwierzęcy, upodabniające go trochę do Hiszpana. Choćby Cécile... Zresztą, niezależnie od sprawy z Cécile, Albert porucznika Pradelle'a po prostu nie znosił. A przede wszystkim miał się przed nim na baczności. Bo Pradelle lubił szarżować. Szarżować, atakować, uderzać — naprawdę to uwielbiał.

Jednakże od jakiegoś czasu sprawiał wrażenie jakby mniej zuchwałego. Perspektywa rozejmu sprawiła, że wyraźnie podupadł na duchu, podkopała jego patriotyczny zryw. Myśl o zakończeniu wojny była dla porucznika Pradelle'a zabójcza.

Przejawiał niepokojące zniecierpliwienie. Brak zapachu żołnierzy okropnie go irytował. Na próżno chodząc po okopach i przemawiając do ludzi, wkładał w swoje słowa całą entuzjazm, na jaki go było stać, mówił o zmiażdżeniu

wroga, dla którego ostatnia salwa będzie aktem miłosiernego dobicia. Jedyłą reakcją były niewyraźne pomruki, ludzie ze wzrokiem wlepionym we własne buty w milczeniu kiwali tylko głowami. Bali się nie tyle tego, że zginą, ile że zginą teraz. Polec na końcu, rozmyślał Albert, to jak polec na początku, trudno o coś głupszego.

Tymczasem tak właśnie miało się stać.

Dotąd w oczekiwaniu na rozejm spędzali dni względnie spokojnie, ale nagle wszystko się zmieniło. Z góry nadszedł rozkaz, żeby ruszyli tyłki i sprawdzili, co robią szwaby. A przecież nie trzeba było być generałem, by domyślić się, że robili to samo co Francuzi: czekali na koniec wojny. Nieważne, trzeba było iść i sprawdzić. Od tego momentu nikt już nie potrafi odtworzyć dokładnego przebiegu wydarzeń. Do misji zwiadowczej porucznik Pradelle wyznaczył Louisa Thérioux i Gastona Grissoniera, nie wiadomo, dlaczego akurat ich, młodego i starego, być może chodziło o połączenie energii z doświadczeniem. Przymioty, jak się okazało, bezużyteczne, bo obaj od chwili przydzielenia im tego zadania żyli jeszcze niecałe pół godziny. Nie musieli zapuszczać się bardzo daleko. Mieli tylko podążyć wzdłuż linii północno-wschodniej, dwieście metrów dalej przeciąć nożycami druty, następnie doczołgać się do drugiej linii zasieków, rzucić okiem i wrócić z informacją, że wszystko w porządku — tym bardziej że byli pewni, iż nie ma nic do oglądania. Zresztą nie obawiali się, że znajdą się tak blisko wroga. Nawet gdyby zostali dostrzeżeni, to zważywszy na status quo ostatnich dni, szwaby pozwoliliby im popatrzeć i wrócić, potraktowaliby to jako chwilową rozrywkę. Tyle tylko, że kiedy pochyleni niemal do ziemi podążali naprzód, zostali ustrzeleni jak króliki. Zaświstały kule, trzy, po czym zapadła cisza. Dla nieprzyjaciela sprawa była załatwiona. Ludzie próbowali ich wypatrzeć, ale ponieważ obaj

zwiadowcy wyruszyli od północy, nie widać było miejsca, gdzie polegli.

Wszystkich dookoła Alberta zatkało. Potem rozległy się krzyki. Świnie! Szwababy jak zawsze tacy sami, diabelski pomiot! Barbarzyńcy! I tak dalej. W dodatku stary i młody! Nic to wprawdzie nie zmieniało, ale w ich przekonaniu szwababy nie dość, że zastrzelili dwóch żołnierzy francuskich, to wraz z nimi uśmiercili dwa symbole. Jednym słowem — szaf.

W następnych minutach z szybkością, o jaką ich nie podejrzewano, artylerzyści zasypali salwami siedemdziesiątekpiątek niemieckie pozycje. Aż dziw, jakim sposobem się dowiedzieli.

Potem wypadki potoczyły się już szybko.

Niemcy odpowiedzieli ogniem. Po stronie francuskiej ludzie szybko się zmobilizowali. Zaraz się z tymi świniami porachują. Był 2 listopada 1918. Nikt jeszcze nie wiedział, że do końca wojny pozostało niecałe dziesięć dni.

I żeby jeszcze zaatakować w Dzień Zaduszny! Można nie przywiązywać wagi do symboli, ale...

Oto znów przywdziewamy rynsztunek, pomyślał Albert, gotowi wspinać się na szafoty (tak nazywano drabinki służące do opuszczania okopów, to ci perspektywa) i ruszyć do natarcia na nieprzyjacielskie linie. Stojąc gęśnego, ludzie, spięci jak cięciwy łuków, z trudem przeżykali ślinę. Albert znajdował się na trzeciej pozycji, pomiędzy Berrym i młodym Péricourtem, który odwrócił się, jakby chcąc sprawdzić, czy są wszyscy. Kiedy spotkały się ich spojrzenia, Péricourt uśmiechnął się jak dziecko szykujące się wyciąć niezłego psikusa. Albert spróbował odpowiedzieć mu uśmiechem, ale nie potrafił. Péricourt wrócił do poprzedniej pozycji. Czekali na rozkaz do ataku, napięcie było niemal namacalne. Wstrząśnięci postępkami szwabów francuscy żołnierze teraz

myśleli tylko o tym, jacy są na nich wściekli. Po niebie nad ich głowami śmigają w obie strony pociski, wprawiając w drżenie ziemię nawet w okopach.

Albert zerknął nad ramieniem Berry'ego. Porucznik Pradelle, stojąc na czujce, obserwował przez lornetkę nieprzyjacielskie linie. Albert wrócił na swoje miejsce w szeregu. Gdyby nie ten piekielny hałas, mógłby zastanowić się nad tym, co go trafiło, ale ciągły przeszywający świst punktowany eksplozjami przyprawiał człowieka o drżenie od stóp do głów. I jak tu w takich warunkach się skupić?

A na razie wszyscy czekają na rozkaz do ataku. To dobra okazja, żeby przyjrzeć się Albertowi.

Albert Maillard był szczupły, dyskretny, z usposobienia dość flegmatyczny. Mówił niewiele, miał smykałkę do liczb. Przed wojną był kasjerem w filii Banque de l'Union parisienne. Niezbyt lubił tę pracę, został tam z powodu matki. Pani Maillard miała tylko jednego syna i uwielbiała szefów. Ach, Albert dyrektorem banku... na taką perspektywę natychmiast, rzecz jasna, zapalała entuzjazmem, przekonana, że „z jego inteligencją” szybko zdoła osiągnąć szczyty. Tę wzmogoną fascynację władzą odziedziczyła po swoim ojcu, asystencie zastępcy naczelnika biura w Ministerstwie Poczty i Telegrafów, człowieku, który postrzegał hierarchię służbową jako metaforę wszechświata. Pani Maillard wielbiła wszystkich szefów bez wyjątku. Nieważne, co sobą reprezentowali ani skąd się wywodzili. Miała fotografie Clemenceau, Maurrasa, Poincarégo, Jaurèsa, Joffre'a, Brianda... Odkąd straciła męża, który dowodził zastępem umundurowanych strażników Muzeum w Luwrze, wielcy ludzie wzbudzali w niej niezwykle emocje. Albert nie palił się do pracy w banku, ale pozwalał jej gadać, przy matce to jeszcze najlepiej się sprawdzało. Niemniej jednak zaczął snuć własne plany. Chciał wyjechać, marzył mu się, co prawda

dość mgliście, Tonkin. W każdym razie chciał porzucić pracę księgowego, zająć się czym innym. Nie należał jednak do osób szybkich, na wszystko potrzebował czasu. No i wkrótce pojawiła się Cécile, natychmiastowa namiętność, oczy Cécile, usta Cécile, uśmiech Cécile, a potem siłą rzeczy piersi Cécile, tyłeczek Cécile. Jak miałyby myśleć o czym innym?

My, dzisiejsi ludzie, uznalibyśmy Alberta Maillarda za niezbyt wysokiego, ale wtedy metr siedemdziesiąt trzy to był słuszny wzrost. Swego czasu spoglądały na niego dziewczyny. Zwłaszcza Cécile. Chociaż... to właściwie Albert spoglądał na Cécile i po jakimś czasie skutkiem tego, że tak na nią patrzył, prawie nie odrywając od niej oczu, Cécile dostrzegła oczywiście jego istnienie i też zaczęła na niego spoglądać. Jego twarz budziła rozczulenie. Nad Sommą kula zadrasnęła jego prawą skroń. Bardzo się wtedy bał, ale skończyło się tylko na półkolistej bliźnie, która lekko ściągała jego oko ku skroni i przydawała rysom jego twarzy męskiego charakteru. W czasie przepustki, którą potem dostał, oczarowana i rozmarzona Cécile opuszką palca wodziła po tej bliźnie, co bynajmniej nie podniosło go na duchu. W dzieciństwie Albert miał bladą owalną twarzyczkę o ciężkich powiekach upodabniających go do smutnego pierrota. Pani Maillard, przekonana, że jest taki blady, bo ma anemię, sama nie dojadając, karmiła go czerwonym mięsem. Na próżno setki razy jej tłumaczył, że jedno z drugim nie ma nic wspólnego, matka nie należała do kobiet ot tak zmieniających zdanie, wynajdowała zawsze przykłady, słuszne powody, nie cierpiała nie mieć racji, nawet w listach nieraz powracała do różnych spraw sprzed lat. Było to naprawdę nieznośne, nasuwa się wręcz pytanie, czy aby nie z tego powodu Albert zaciągnął się do wojska od razu na początku wojny. Na wieść o tym pani Maillard podniosła krzyk, ale ponieważ była kobietą bardzo ekspresyjną, nie

sposób stwierdzić, ile było w tym przerażenia, a ile teatru. Krzyczała, rwała sobie włosy z głowy, po czym szybko się uspokoiła. A ponieważ miała dość konwencjonalne wyobrażenie o wojnie, szybko nabrała przekonania, że Albert „z jego inteligencją” wkrótce się wyróżni, awansuje, już go widziała ruszającego do ataku na pierwszej linii. Wyobrażała sobie, że dokona heroicznego czynu, że tylko patrzeć, jak zostanie awansowany na oficera, kapitana, dowódcę albo jeszcze lepiej — generała, na wojnie zdarzają się takie rzeczy. Albert, pakując swój bagaż, pozwolił jej snuć te opowieści.

Z Cécile było inaczej. Jej wojna nie przerażała. Po pierwsze, Albert spełniał swój „patriotyczny obowiązek” (był bardzo zdziwiony, nigdy nie słyszał z jej ust takich słów), poza tym tak naprawdę nie było powodu do obaw, chodziło właściwie o zwykłą formalność. Wszyscy to mówili.

Sam Albert miał co do tego pewne wątpliwości, ale Cécile w gruncie rzeczy przypominała trochę jego matkę; ona też wiedziała swoje. Z jej słów wynikało, że wojna nie potrwa długo. Albert chętnie jej wierzył: z tymi swoimi dłońmi, swoimi ustami, z tym wszystkim mogła mu opowiadać dowolne głupstwa. Komuś, kto jej nie zna, trudno to zrozumieć — rozmyślał Albert. Dla nas taka Cécile byłaby po prostu ładną dziewczyną, nic więcej. Ale nie dla niego. Dla niego wszystko, co wiązało się z Cécile, jej skóra, jej oddech, absolutnie wszystko było wyjątkowe. Miała niebieskie oczy, cóż, nam to nic nie mówi, ale dla Alberta te oczy były przepaścią, bezdenną otchłanią. Albo weźmy na przykład jej usta i przez chwilę wyobraźmy sobie, że jesteśmy Albertem. Te usta obdarzały go pocałunkami tak gorącymi i czułymi, że wprost rozsadzało mu łądzwie, czuł w swoich ustach jej ślinę, namiętnie ją spijał, jej wargi potrafiły zdziałać takie cuda, że Cécile przestawała być już tylko Cécile. To było coś takiego, że... Mogła więc sobie

twierdzić, że wojna potrwa tyle, co przełknięcie kęsa, Albert oddałby wszystko, żeby być takim kęsem dla niej...

Dziś oczywiście postrzegał te sprawy inaczej. Już wiedział, że wojna jest tylko gigantyczną loterią z prawdziwymi kulami zamiast piłek i że przeżycie na niej czterech lat zakrawa na istny cud.

I żeby wreszcie, tuż przed jej zakończeniem, dać się żywcem pogrzebać, to już prawdziwy pech.

A jednak tak właśnie miało się stać.

Albert miał zostać żywcem pogrzebany.

„Brak szczęścia” — stwierdziłaby jego matka.

Porucznik Pradelle odwrócił się do swojego oddziału, zatopił spojrzenie w oczach stojących najbliżej ludzi, którzy z prawa i lewa wpatrywali się w niego jak w mesjasza. Skinął głową, wziął głęboki wdech.

Kilka minut później Albert lekko pochylony, z głową wtuloną w ramiona, z całej siły ściskając z rękach karabin, ciężkim krokiem biegnie pośród scenerii końca świata, w powodzi pocisków i świszczących kul. Ziemia jest grząska, bo w ostatnich dniach mocno padało. Obok niego chłopaki wrzeszczą jak szaleni, żeby się oszołomić, żeby dodać sobie odwagi. Inni znów posuwają się naprzód w takim jak on skupieniu, ze ściśniętym gardłem, z zaschniętymi ustami. Zbrojni orężem ostatecznego gniewu, żądzą zemsty, wszyscy pędzą na spotkanie wroga. Niewykluczone, że jest to przewrotny skutek bliskości rozejmu. Wojna tak długo dawała im w kość, że na myśl o takim jej zakończeniu, o tylu kolegach, którzy polegli, i tylu wrogach, którzy przeżyli, czują w sobie wręcz żądę masakry, skończenia z nią raz na zawsze. Zaszlachtowaliby każdego, kto się nawinie.

Nawet Albert, choć przerażony myślą o śmierci, wyprułby flaki z pierwszego lepszego. Tymczasem po drodze nie brakowało przeszkód i biegnąc, musiał zboczyć nieco na

prawo. Początkowo podążał w kierunku wytyczonym przez porucznika, ale w tym deszczu świszczących kul i pocisków człowiek siłą rzeczy posuwa się zygzakami. Tym bardziej że podążający tuż przed nim Péricourt został trafiony i padł mu prawie prosto pod nogi, Albert ledwie zdążył nad nim przeskoczyć. Traci równowagę, z rozpędu przebiega jeszcze kilka metrów i natyka się na zwłoki starego Grisonniera, którego tak nieoczekiwana śmierć dała sygnał rozpoczęcia tej ostatniej hekatombi.

Ujrawszy jego ciało w tym miejscu, Albert staje jak wryty mimo świszczących wokół kul.

Rozpoznaje go po płaszczu wojskowym, w którego butonierce Grisonnier nosił zawsze coś czerwonego, „swoją legię horrorową”, jak to nazywał. Nie był specjalnie bystry ani wrażliwy, ale był dzielnym facetem i wszyscy go bardzo lubili. Tak, to na pewno on. Jego wielka głowa wygląda jak wtłoczona w błoto, reszta ciała sprawia wrażenie niedbale ciśniętej. Nieco dalej Albert rozpoznaje młodszego, Louisa Thérioux. On też jest częściowo pokryty warstwą błota, leży skulony, zwinięty jak płód. To wstrząsające, umrzeć w takim wieku i w takiej pozycji...

Albert nie wie, co go tknęło, jakieś przecucie, chwytą ramię starszego i ciągnie. Nieboszczyk ciężko przetacza się na plecy. Albertowi wystarcza tylko kilka sekund, by zrozumieć, co się stało. A potem dociera do niego prawda oczywista: podążając w kierunku nieprzyjaciela, nie ginie się od dwóch strzałów w plecy.

Przestępuje przez zwłoki i wciąż pochylony, nie wiadomo po co, bo kule dosięgają równie dobrze pochylonego, co stojącego, ale to już kwestia odruchu, żeby jak najmniej wystawiać się na cel — tak jakby prowadziło się wojnę w ciągłym strachu przed niebem — robi kilka kroków. I staje nad ciałem małego Louisa, który trzyma dłonie zaciśnięte

w pięści przy ustach, to niesamowite, jak młodo wygląda, cóż, dwadzieścia dwa lata. Albert nie widzi jego twarzy unurzanej w błocie, widzi tylko plecy. I ślad po kuli. Dwie kule Grisonniera plus ta, to razem trzy.

Prostuje się, wciąż jeszcze osłupiały, oszołomiony tym odkryciem. Tym, co ono oznacza. Na kilka dni przed rozejmem chłopakom już się tak nie śpieszyło dać szwabom popalić, jedynym sposobem poderwania ich do walki było porządnie nimi wstrząsnąć. Właśnie! Gdzie się znajdował Pradelle, kiedy tych dwóch zarobiło kule w plecy?

Dobry Boże...

Zdumiony swym odkryciem odwraca się i wtedy kilka metrów dalej widzi porucznika Pradelle'a, który pędzi w jego stronę tak szybko, na ile to możliwe w pełnym rynsztunku.

W jego ruchach jest determinacja, głowę trzyma prosto. Jednak Albert widzi przede wszystkim jego jasny, utkwiony w nim wzrok. Absolutnie gotowy na wszystko. I nagle cała sprawa staje się jasna.

W tym momencie Albert uświadamia sobie, że zaraz zginie.

Próbuje zrobić kilka kroków, ale i głowa, i nogi odmawiają mu posłuszeństwa. To wszystko dzieje się zbyt szybko. Jak już wspominałem, Albert do szybkich nie należy. Trzy długie susy i Pradelle już przy nim jest. Obok nich zieje wielka dziura w ziemi, lej po pocisku. Ramię porucznika trafia w pierś Alberta z taką siłą, że go aż zatyka. Traci grunt pod nogami, próbuje odzyskać równowagę i z rozkrzyżowanymi ramionami wpada tyłem prosto do dziury.

A zapadając się, jak w zwolnionym tempie, coraz głębiej w szlam, widzi oddalającą się twarz Pradelle'a i nareszcie do niego dociera, ile wyzwania, pewności siebie i agresji kryje się w jego spojrzeniu.

Na dnie leja Albertowi mimo ciężkiego ekwipunku udaje się zrobić przewrót w tył. Zaplątuje się nogami w karabin,

jednak chociaż z trudem, wstaje i natychmiast przywiera plecami do stromej ściany, jakby się bał, że go ktoś usłyszy lub zaskoczy. Usiłując utrzymać się na nogach (gliniasta ziemia jest śliska jak mydło), próbuje złapać oddech. Jego myśli, krótkie i bezładne, wciąż wracają do lodowatego spojrzenia porucznika Pradelle'a. W górze nad jego głową bitwa zdaje się słabnąć. Mleczne niebo usiane girlandami gwiazd rozświetlają błękitne lub pomarańczowe błyski. Jak pod Gravelotte latające w obie strony pociski spadają pośród nieprzerwanego ogłuszającego huku, w zawierusze gwizdów i eksplozji. Albert unosi wzrok. Na tle nieba wysoka postać porucznika Pradelle'a stojącego na brzegu leja wygląda jak anioł śmierci.

Ma wrażenie, że długo spadał. W rzeczywistości ile może ich od siebie dzielić, co najwyżej dwa metry, nie więcej. Pewnie nawet mniej. Ale to wielka odległość. Porucznik Pradelle stoi wysoko w górze, nogi ma szeroko rozstawione, dłonie mocno zatknięte za pas. Z tyłu za nim co rusz błyskają światła walki. Stoi nieruchomo. Spokojnie patrzy w głąb leja. Z nieznacznym uśmiechem na ustach wpatruje się w Alberta. Nie kiwnie nawet palcem, żeby go stąd wyciągnąć. Dławiąc się ze złości, Albert łapie karabin, ślizga się, w ostatniej chwili odzyskuje równowagę, przykładając broń do ramienia, ale kiedy wreszcie udaje mu się lufę wycelować w górę, na skraju leja nie ma już nikogo. Pradelle zniknął.

Albert został sam.

Upuszcza karabin i znów próbuje złapać oddech. Nie powinien czekać, powinien natychmiast wygramolić się z tego leja, pognać za Pradelle'em, strzelić mu w plecy, skoczyć mu do gardła. Albo dołączyć do innych, powiedzieć im, podnieść krzyk, coś zrobić, sam nie wie co. Ale czuje się bardzo zmęczony. Dopadło go wyczerpanie. To wszystko jest takie beznadziejne. Czuje się, jakby dotarł wreszcie na

miejsce, jakby postawił walizkę. Chciałby wydostać się na górę, ale nie może. Był już tak blisko, żeby skończyć z tą wojną, a tu proszę, wylądował w tej dziurze. Nie tyle siada, ile opada na ziemię i łapie się rękami za głowę. Próbuje przeanalizować sytuację, ale jego morale kompletnie siadło. Rozpuściło się jak sorbet. Jak jeden z tych ulubionych cytrynowych sorbetów Cécile, która jedząc je, szczeka zębami i robi minki jak mały kociak, a wtedy Albert najchętniej by ją do siebie przytulił. A właśnie, Cécile... Kiedy ostatnio do niego napisała? To też go dobijało. Nikomu o tym nie mówił, ale listy od niej stały się krótsze. Ponieważ wojna niedługo ma się skończyć, Cécile pisze do niego tak, jakby się już na dobre skończyła, jakby już nie było warto się rozpisywać. U innych, tych, którzy mają rodziny, sytuacja wygląda inaczej, nadal dostają listy, ale on, który ma tylko Cécile... Jest też oczywiście jego matka, ale ona jest tak okropnie męcząca. Jej listy są takie jak gadanie, chciałaby o wszystkim za niego decydować... To właśnie Alberta tak wykończyło, tak go trapiło, to plus wszyscy ci koledzy, którzy polegli i o których wolałby za wiele nie myśleć. Przeżył już niejeden moment zniechęcenia, ale to teraz zdarzyło się naprawdę nie w porę. Dokładnie w chwili, gdy potrzebuje całej swojej siły. Nie wie dlaczego, ale coś w nim nagle pękło. Czuje to w podbrzuszu. Przypomina to bezbrzeżne zmęczenie i jest ciężkie jak kamień. Jakiś uporczywy sprzeciw, coś bezgranicznie biernego i spokojnego. Tak jakby się coś skończyło. Kiedy wstępując do wojska, próbował wyobrazić sobie wojnę, wzorem wielu innych po cichu myślał, że w razie czego wystarczy mu udawać nieboszczyka. Że przewróci się, dla większej wiarygodności nawet z krzykiem, udając, że dostał kulę prosto w serce. A potem wystarczyłoby już tylko leżeć i czekać, aż wszystko ucichnie. Po zapadnięciu ciemności podczołgałby się do ciała kogoś z kolegów,

naprawdę martwego, i ukradłby jego dokumenty. Po czym przez długie godziny pełznąłby dalej, zatrzymując się i wstrzymując oddech, gdyby w ciemnościach usłyszał jakieś głosy. Zachowując najwyższą ostrożność, dotarłby w końcu do jakiejś drogi i ruszył nią na północ (lub w innej wersji, na południe). Podczas marszu wykułby na pamięć wszystkie dane swojej nowej tożsamości. W końcu napotkałby jakiś zbłąkany oddział pod wodzą kaprała, wielkiego faceta z... Jednym słowem, jak na kasjera w banku Albert ma dość bujną wyobraźnię. Zapewne spory wpływ miały na niego fantazje pani Maillard. Na początku wojny tę romantyczną wizję podzielało wielu innych. Albert wyobrażał sobie dziarskie oddziały w pięknych czerwono-niebieskich mundurach podążające w zwartym szyku na spotkanie niemieckiej armii, już ogarniętej paniką. Żołnierze mierzyli do wroga ze lśniących bagnatów, a rozproszone dymy po eksplozji serii pocisków potwierdzały rozsypkę nieprzyjaciela. Tak naprawdę Albert zaciągnął się na wojnę w stylu stendhalowskim, wylądował zaś pośród prozaicznej, barbarzyńskiej rzezi, której żniwem były tysiące poległych dziennie, i to przez pięćdziesiąt miesięcy. By sobie to wyobrazić, wystarczyło spojrzeć z góry na scenerię wokół jego leja: jałowa, pozbawiona wszelkiej roślinności ziemia z tysiącami dziur po pociskach, usłana setkami rozkładających się zwłok, których dławiący fetor podchodzi ci do gardła przez cały boży dzień. Kiedy tylko walka nieco cichnie, szczury wielkie jak króliki śmigają z ciała na ciało, walcząc z muchami o resztki napoczęte już przez robaki. Albert zna to wszystko, gdyż pod Aisne był sanitariuszem, i kiedy nie znajdował już jęczących lub wrzeszczących rannych, zbierał wszystkie ciała, w różnych stadiach rozkładu. Zna ten temat z własnego doświadczenia. Dla kogoś o tak wrażliwym sercu było to niewdzięczne zajęcie.

I w dodatku, co jest już szczytem pecha w przypadku człowieka, który za chwilę zostanie żywcem pogrzebany, Albert cierpi na klaustrofobię.

W dzieciństwie na samą myśl, że matka, wychodząc z jego pokoju, mogłaby zamknąć drzwi, robiło mu się niedobrze. Nic nie mówił, leżał cicho, nie chciał martwić matki, która zawsze mu tłumaczyła, że i bez tego jest jej okropnie ciężko. Jednak noc i w ogóle ciemności bardzo silnie na niego działały. Nawet w późniejszych latach, nie tak dawno temu, kiedy baraszkowali z Cécile w pościeli. Całkowicie okryty, włącznie z głową, tracił dech, wpadał w panikę. Zwłaszcza że czasami Cécile zamykała go w uścisku swoich nóg, żeby go przytrzymać. Żeby zobaczyć, co się stanie, mówiła ze śmiechem. Jednym słowem, śmierci przez uduszenie Albert bał się najbardziej ze wszystkiego. Na szczęście o tym nie myśli, choć w porównaniu z tym, co go czeka, uwięzienie między jedwabistymi udami Cécile, nawet z głową pod prześcieradłem, zakrawa na raj. Bo gdyby pomyślał, zapragnąłby umrzeć.

Co zresztą nie byłoby takie złe, skoro tak właśnie się stanie. Ale nie od razu. Dopiero za chwilę, kiedy kilka metrów od jego leja wybuchnie decydujący pocisk i wzbije tuman ziemi wysokości muru, która opadając, całego go przysypie i pozostanie mu już tylko chwila życia, wystarczająco jednak długa, by zdążył zrozumieć, co go naprawdę spotkało. A wtedy poczuje w sobie rozpaczliwą wolę przeżycia, ten rodzaj atawistycznego oporu, jaki muszą czuć szczury laboratoryjne, kiedy chwyta się je za tylne łapki, albo świnię przeznaczoną na ubój czy krowy prowadzone do rzeźni... Ale na to trzeba będzie trochę poczekać. Poczekać, aż jego płuca zbieleją, próbując zaczerpnąć tlenu, aż jego ciało wyczerpią rozpaczliwe próby wydostania się, aż jego głowa będzie bliska eksplozji, aż jego umysł popadnie w obłąd,

aż... ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

Albert odwraca się, po raz ostatni spogląda w górę, ostatecznie krawędź nie jest tak znów daleko. Tyle że dla niego za daleko. Próbuje zebrać w sobie siły, myśleć tylko o tym, żeby się wspiąć, żeby wydostać się z tej dziury. Siega po swój plecak i karabin i mimo zmęczenia zaczyna się wspinać po stromym stoku. Nie jest to łatwe. Jego nogi ślizgają się po błotnistej glinie, nie znajdują punktów oparcia, daremnie wbija palce w ziemię, z całej siły kopie czubkiem buta, próbując zyskać jakąś podpórkę, wszystko na nic, z powrotem się osuwa. Zostawia więc swój worek i karabin. Gdyby trzeba było, bez wahania rozebrałby się nawet do rosołu. Przywiera ciałem do ściany i zaczyna czołgać się na brzuchu, jak wiewiórka w klatce drapie palcami w pustce, po czym spada zawsze w tym samym miejscu. Dyszy, jęczy, a potem zaczyna krzyczeć. Ogarnia go panika. Do oczu napływają mu łzy, wali pięścią w gliniasty mur. Cholera, do tej krawędzi nie jest tak daleko, wyciągając ramię, mógłby jej prawie dosięgnąć, ale ślizgają mu się stopy, każdy zyskany centymetr momentalnie traci. Muszę się wydostać z tej kurewskiej dziury! I uda mi się! Umrzeć, tak, kiedyś, ale nie teraz, idiotyczne byłoby, gdyby teraz. Wydostanie się stąd i poszuka porucznika Pradelle'a choćby i wśród szwabów, znajdzie go i zabije. Myśl o dorwaniu tego skurwiela dodaje mu odwagi.

Na moment przerywa, ze smutkiem stwierdzając: szwabcy od czterech lat bezskutecznie próbują go zabić, a uda się to dopiero francuskiemu oficerowi.

Cholera.

Kłęka i otwiera plecak. Wyjmuje z niego wszystko, manierkę stawia między nogami: rozciągnie płaszcz na śliskim stoku, powbija w ziemię wszystko, co się da, żeby mieć się czego przytrzymać. Odwraca się i w tym momencie

w górze słyszy wizg pocisku. Z nagłym lękiem unosi głowę. W ciągu tych czterech lat nauczył się odróżniać pociski kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów od dziewięćdziesiątekipiątek, stupałki od studwudziestek... Ale teraz się waha. To pewnie z powodu głębokości leja lub odległości, ale zapowiada ten pocisk dziwny, jakby nowy odgłos, bardziej głuchy i matowy od tamtych, stłumione buczenie kończące się potężnym warkotem. Ledwie Albert zdążył pomyśleć, co to może być, i w tym momencie rozlega się ogłuszająca detonacja. Szarpnięta gwałtownym paroksyzmem ziemia z posępnym pomrukiem drży i zaraz wybucha. Jak wulkan. Tracąc pod wpływem wstrząsu równowagę, ale również zaskoczony Albert patrzy w górę, gdyż nagle wszystko pociemniało. I zamiast nieba widzi, jak dziesiątki metrów nad jego głową, niczym w zwolnionym tempie wzbija się olbrzymia fala ciemnej ziemi, której ruchomy falisty grzbiet powoli ku niemu spływa, gotów opaść i zamknąć go z swoim uścisku. Jej nieuchronne nadejście poprzedza jasny, niemal leniwy deszcz kamieni, brył ziemi, rozmaitych szczątków. Albert kuli się i wstrzymuje oddech. Nie to powinien był zrobić, odwrotnie, powinien się raczej wyprostować, każdy, kto zginął zasypany, to powie. Przez następne dwie lub trzy sekundy niepewności Albert wpatruje się w ziemną kotarę, która faluje w górze, jakby jeszcze niepewna, kiedy i w którym miejscu ma opaść.

Za chwilę ta pokrywa runie i całego go okryje.

W normalnych okolicznościach twarz Alberta przywodzi na myśl portret Tintoretta. Miał nieco zbolale rysy, kształtne usta, wydatny podbródek i głębokie cienie pod oczami, podkreślające łuki czarnych brwi. Ale teraz, kiedy patrzy w górę i widzi zbliżającą się śmierć, przypomina bardziej świętego Sebastiana. Jego rysy nagle się wyostrzyły, twarz stężała w wyrazie bólu, strachu przed śmiercią, w swoistym

błaganiu o tyle bardziej bezzasadnym, że za życia nigdy w nic nie wierzył — i na pewno za sprawą spotykającego go pecha nie zacznie wierzyć. Nawet gdyby wystarczyło mu czasu.

Z przerażającym chrzęstem pokrywa ziemi opada na niego. Spodziewać by się można uderzenia, które z miejsca by go zabiło, zginąłby, i tyle. Jednakże to, co się dzieje, jest jeszcze gorsze. Po nieprzerwanym deszczu kamyków i kamieni osuwają się na niego zwały ziemi, które najpierw go okrywają, a potem coraz cięższą warstwą przywalają. Przygważdżają ciało Alberta do ziemi.

A w miarę jak przybywa jej coraz więcej, unieruchamiają go, zgniatają, sprasowują.

Zapada ciemność.

Wszystko zamiera.

Zapanowuje nowy porządek świata, świata, w którym nie będzie już Cécile.

Pierwszą rzeczą, która, tuż zanim wpadnie w panikę, zaskakuje Alberta, jest ustanie zamętu wojny. Jakby wszystko raptownie umilkło, jakby Bóg odgwizdał koniec meczu. Oczywiście gdyby się choć trochę wsłuchał, pojąłby, że nic nie ustało, tyle że dźwięki docierają do niego stłumione, wyciszone masą okrywającej go, otaczającej zewsząd ziemi, niemal niesłyszalne. Ale na razie ma inne zmartwienia niż nasłuchiwanie odgłosów celem sprawdzenia, czy wojna nadal trwa, bo jedyne, co się teraz liczy, to że dla niego wojna w tym momencie się kończy.

Kiedy hałasy ustały, Albert jest zaklinowany. Znalazłem się pod ziemią — mówi sobie, jakkolwiek jest to myśl dość abstrakcyjna. Dopiero kiedy stwierdza: zostałem żywcem pogrzebany, sytuacja staje się zatrwająco konkretna.

I kiedy uświadamia sobie bezmiar katastrofy, to, jaki rodzaj śmierci go czeka, kiedy do niego dociera, że za chwilę się udusi, natychmiast i bez reszty popada w obłąd. W głowie

wszystko mu się miesza, wrzeszczy i przez ten daremny krzyk marnuje resztkę tlenu, jaka mu jeszcze została. Zasypało mnie — powtarza w kółko, i jego umysł do tego stopnia grzęźnie w tej przerażającej oczywistości, że nie pomyślał nawet, żeby otworzyć oczy. Jednak próbuje się choć trochę poruszyć. Resztki sił, jakie mu jeszcze zostały, narastającą w nim panikę zamienia w wysiłek mięśniowy. Wkłada w tę walkę nieprawdopodobnie wiele energii. Wszystko na próżno.

I nagle przerywa.

Bo oto do niego dotarło, że porusza rękami. Nieznacznie, ale porusza. Wstrzymuje oddech. Gliniasta, nasiąkła wodą ziemia, spadając, utworzyła wokół niego na wysokości ramion i karku jakby rodzaj muszli. Świat, w którym tkwi jak skamieniały, ustąpił mu tu i ówdzie kilka centymetrów. Albert wie, że tak naprawdę tej ziemi nie jest tak znów dużo. Ile, może ze czterdzieści centymetrów. Ale ponieważ leży, taka warstwa wystarczy, by go sparaliżować, unieruchomić i zakleszczyć.

Ziemia wokół niego dygocze. W górze w oddali nadal trwa wojna, spadające pociski nadal wstrząsają nią i wprawiają w drżenie.

Albert otwiera oczy, z początku nieśmiało. Jest ciemno, ale nie całkowity mrok. Prześwitują nikłe białawe smugi światła. Skrajnie anemiczny przebłysk życia.

Zmusza się do płytkiego urywanego oddechu. Rozsuwa łokcie na kilka centymetrów, udaje mu się nieco wyprostować nogi. Z najwyższą ostrożnością, nieustannie walcząc z ogarniającą go paniką, próbuje odsłonić twarz, żeby móc oddychać. Blok ziemi niczym pękająca bańka mydlana od razu ustępuje. Wszystkie jego mięśnie natychmiast odruchowo tężeją, ciało się kuli. Ale nic więcej się nie dzieje. Ile czasu tkwi w stanie tej chwiejnej równowagi, w której powoli ubywa mu powietrza, wyobrażając sobie,

jaki rodzaj śmierci go czeka, jak to będzie, kiedy zabraknie mu tlenu i kiedy to zrozumie, kiedy naczynia krwionośne zaczną pękać jedno po drugim jak pęcherze, kiedy jego oczy wytrzeszczą się, omal nie wypadając z orbit, jakby próbowały wypatrywać brakującego powietrza? Milimetr za milimetrem, starając się jak najmniej oddychać i nie myśleć, nie zastanawiać się nad tym, co go spotkało, wyciąga rękę, maca przed sobą. A wtedy pod palcami coś wyczuwa; w prześwicie bladego, choć nieco wyraźniejszego światła nie może dostrzec, co to jest. Jego palce dotykają czegoś miękkiego, nie ziemi, nie gliny, czegoś niemal jedwabistego i lekko ziarnistego.

Potrzebuje czasu, by zrozumieć, co to jest.

W miarę jak jego wzrok powoli oswaja się z ciemnością, Albert widzi przed sobą ogromne chrapy, z których wycieka jakiś lepki płyn, olbrzymie żółte zęby, wielkie oczy zaciągnięte mlecznobłękitną mgiełką...

Łeb konia, olbrzymi, odrażający, potworny.

Nie może się opanować i gwałtownie cofa. Czaszką uderza w ścianę leja, osuwa się kolejna warstwa ziemi, zasypuje go po szyję, Albert wyciąga ramiona, próbując się osłonić, zastyga w bezruchu, wstrzymuje oddech. Mijają sekundy.

Pocisk, wybuchając, przeorał ziemię i ekshumując konia — jednego z wielu padłych na polu bitwy — podrzucił jego łeb Albertowi. Oto młody mężczyzna i martwy koń znaleźli się ze sobą twarzą w twarz, prawie się całują. Ziemia, osuwając się, umożliwiła Albertowi uwolnienie rąk, ale jej pokrywa jest ciężka, bardzo ciężka, uciska jego klatkę piersiową. Stopniowo znów zaczyna oddychać, płytko i nierówno, jego płuca tylko tyle mogą. Do oczu napływają mu łzy, ale udaje mu się je powstrzymać. Mówi sobie, że płakać to jak pogodzić się ze śmiercią.

Lepiej by zrobił, folgując sobie, bo teraz nie potrwa to już długo.